

KAROLINA
KASPRZAK-DIETRICH

PRZEKŁĘTA
ZIEMIA



Karolina Kasprzak-Dietrich

Przeklęta ziemia

© Copyright by Karolina Kasprzak-Dietrich

Korekta: Karolina Szastok

Okładka: Katarzyna Krzan

Skład: Katarzyna Krzan

ISBN e-book: 978-83-954942-3-9

Wydawca: Karolina Kasprzak-Dietrich



Patronat medialny:



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II 2025

20 kwietnia 1947 r.
Mała wioska Kalina pod Gniezmem

*Człowiek z natury jest zły,
bo stworzony, by walczyć.
Wszystko, co żyje,
walczy.*

W obie dłonie chwyciłem dzierzak. Waliłem chłopca na oślep. Najprawdopodobniej po grzbiecie. Sam nie wiem – miałem zaciśnięte powieki. Końcówka cepa zaczepiona na grubym rzemieniu, odbijała się od jego zwiniętego ciała jak sprężyna. Ciepłe krople krwi obryzgiwały moją twarz. Strumieniem spływały po moim sfilcowanym zaroście. Jestem beznadziejny.

Gniada zaczęła parskać. Skuliła uszy, odwróciła się zadem – tak to sobie wyobrażam, bo doprawdy nie potrafię uchylić powiek.

Następna ofiara Edmunda – głupi szczeniak, który nie słuchał rodziców i oddalił się od swojego domu, bo... Bo...? Zapewne było całe mnóstwo powodów. Znam je z czasów, gdy też byłem dzieckiem.

Przesiedzieliśmy razem cały wieczór, gapiąc się na siebie. W mojej stodole, pod moim dachem. Potem, zupełnie niepotrzebnie dowiedziałem się, że chłopiec ma na imię Adaś i że ma dziesięć lat. Rozmawialiśmy. Nawet zrobiło się miło – choć ja wiedziałem, że niebawem zrobi się okrutnie. On być może tylko przeczuwał. Adaś podobnie jak ja kochał malować obrazy, szkicować grafiki i takie tam... Bzdury, jaki jest głupi, że wierzy w sławę. Ja też kiedyś wierzyłem, że zdobędę uznanie.

Niebawem Święta Wielkanocne, nawet nie doczeka upominków.

Też kiedyś miałem sumienie, byłem artystą – niezwykle wrażliwym na piękno przyrody, na ból i cierpienie. Nie potrafiłem skrzywdzić muchy, a nawet dokuczliwej osy. Wolałem malować...

Teraz jestem katem. Edmund zmienił mnie w groźną bestię.

Muszę zabijać małe dzieci, bo on jest ciągle głodny. Nakazuje mi łać bijakiem tak, żeby bolało, żeby wydusić z dzieciaka jak najwięcej cierpienia. Twierdzi, że emocje jak ból i strach powodują wydzielanie największej ilości adrenaliny. Szyszynka jest wtedy gorąca i najsmaczniejsza. Potrafi to ocenić już po pierwszym kęsie. Kiedy mu smakuje, czeka mnie nagroda, a kiedy zakręci wąsiskiem, kara.

To potwór nie człowiek, a ja zostałem jego prawą ręką.

Dzieciak zdążył wydobyć z siebie tylko jeden jęk, tylko tyle!

To dobrze, przynajmniej aż tak nie boli, ale mimo wszystko nadal uderzam go gwałtownie i z całej siły. Wyobrażam sobie, że to worek kartofli. Cały czas zaciskam mocno powieki – mam wrażenie, że zaraz sobie wduszę oczy do środka. Edmund jest zły, bardzo zły, a ja nie potrafię mu się sprzeciwić. Boję się, że skończę jak ci wszyscy chłopcy.

Przy trzynastym uderzeniu (dokładnie je liczę) chłopiec najprawdopodobniej wyzionął ducha. Jego ciało wnet zeszytniało. Odkładam młóckę na bok. Chcąc dać znak Edmundowi, trzy razy pukam w drewniane drzwi stodoły, słyszę kroki.

Wchodzi do środka, najpierw spogląda na chłopca, potem na mnie. Klepie mnie po ramieniu, chwalać za dobrą robotę, choć jeszcze nie skosztował, ma dziś chyba dobry dzień. Potem

odpycha mnie, zapędzając do kąta. Rzuca na moją głowę brudną szmatę. Bredzi coś po niemiecku. Potem tylko słyszę jak piłuje czaszkę, wali młotkiem i znowu piłuje. Następnie słyszę mlaskanie, oblizuje się.

– *Gut, gut...* – znowu gada po szwabsku te same słowa, urwane zdania.

Oszust – do perfekcji opanował język polski, ale wie, że słowa niemieckie ranią mnie najbardziej. Chyba jeszcze bardziej niż morderstwa, które dla niego popełniam.

Mam ochotę schwycić cep i go zatłuc, tak samo jak zatłukłem tego chłopca. Kajdanki, którymi skute są moje ręce, zaczepione są do coraz krótszych łańcuchów. Nie mam szans z uzbrojonym Niemcem, ale pocieszający jest fakt, że jednak się mnie obawia. To głupie, jestem słaby i głodny. Mogę poruszać się tylko po stodole, od lat nie widziałem słońca.

Mlaskanie ucichło, chyba już zjadł!

Słyszę też, jak podnosi się z drewnianego taboretu. Domyślam się, że grzebie w kieszeni. Wiem, że szuka bawełnianej chusteczki. Ostatnim razem szmata zsunęła mi się z głowy i wtedy zobaczyłem, jak wyciąga z kieszeni białą, złożoną w równy kwadracik, wykrochmaloną chusteczkę i wyciera sobie kąciki ust, potem brodę, a na końcu przeciera całą twarz.

Widziałem, wszystko widziałem. Widziałem, jak zre chłopięcy mózg. Na Boga, pragnę swojej śmierci. Lecz nawet ona się mnie boi.

Po całej uczcie rzuca w kąt łyżeczkę, byle jak złożoną chustkę chowa do kieszeni. Mówi, żebym posprzątał. Wychodzi ze

stodoły, śmiejąc się w głos . Wojna zamieniła ludzi w potwory. Bronilem się jak mogłem, ale zło i mnie dopadło.

Adaś, szczupły chłopiec z jedwabną apaszką na szyi, miał takie ładne oczy. Oczy w kolorze orzecha, a włosy jak kasztany jesienią. Miał delikatne rysy twarzy i tak samo delikatny głos. Kazałem mu zamknąć te piękne orzechowe oczy, ale on nie patrzył na mnie. Miał zbląkany wzrok. Jakby do końca nie rozumiał, albo jakby dopiero rozumiał, co go czeka.

Mały gzub¹! Po co z nim rozmawiałem? Po co poznałem jego imię, jego historię? Tyle mi opowiedział o matce i ojcu. On też miał siostrę, tak ja kiedyś.

Żadnych więzi. To wszystko utrudnia.

Edmund jest zły, to bardzo zły człowiek.

Musiałem to zrobić, ponieważ nie chciałem stracić kolejnego palca. Czuję tylko jak zimne, skrzepnięte krople krwi płaczą się w moim zaroście. Przecieram brodę rękawem, wiem, że i mój koniec się zbliża.

Z pierwszą ofiarą wcale nie było tak prosto, chłopiec był nad wyraz waleczny. Tak płakał, że w uszach po dziś dzień mi brzęczy. Czasem mam koszmary – śnią mi się ojciec i matka, moja siostra Kazia, brat Sylwek. Patrzą na mnie karcącym wzrokiem. Wstyd mi przed nimi za to, co robię, a jednak robię to. Zostałem sam, uwięziony w stodole, którą w pocie czoła budował mój dziadek Zenek.

To był prawy człowiek, wzór do naśladowania. A może jednak nie?! Ktoś już przeklął tę ziemię, więc i ja ją przeklinam!

Zrobiło mi się gorąco, pot zgromadził się na moim czole i spływał po brudnej od krwi twarzy.

¹ Gzub – dzieciak.

Moje myśli mnie zmęczyły. Nachylam się nad zwłokami Adasia. Delikatnie uchylam swoje powieki, żeby uchronić się od nagłego, paskudnego widoku. Chłopczyk jest zwinięty w pałąk. Najważniejsze, że już go nie boli. Nie widać jego twarzy, jest poszarpana, pokryta brunatną ciecżą.

Znowu słyszę kroki Edmunda, uciekam do kąta, na głowę nakładam sobie szmatę.

Chce sprawdzić, czy posprzątałem? A może to nie Edmund? Może to śmierć się zlitowała i wreszcie po mnie przyszła?

Znowu za dużo myślę, znowu tracę cenny czas.

Słyszę jego charkotliwy głos.

– No... mordo nieprzegnojoną... – przemówił do mnie po polsku.

Uszczypnął mój policzek przez materiał. Milczę.

20 maja 2000 r.

Drezno

*Krótki mejl o twojej śmierci bardzo mnie ucieszył.
Bardziej niż zaproszenie na nasz ślub.*

Sześćdziesięcioletni Bernard wygodnie wyciągnął przed siebie nogi i rozejrzał się po swoim salonie. Wokoło panował przepych. Siedział na fotelu, w swojej prywatnej biblioteczce, otoczony regałami wypchanymi najróżniejszymi książkami – starszymi i nowszymi. Jednak te starsze lubił najbardziej. Zwłaszcza dotykać ich okładek z cielejącej skóry: delikatnych, wyraźnie nadzarpniętych zębem czasu. Sunąć opuszką po wytłaczanych, złotych, gotyckich literach, a wewnątrz... Poemat. Od zawsze pochłaniał wiedzę, kochał czytać. Był dodatkowo estetą. Wszystkie powieści w biblioteczce musiały być poukładane alfabetycznie, wszystkie miały swoje miejsce. Niektóre publikacje znał już na pamięć, a mimo to i tak z chęcią je czytał.

Uwielbiał w porze śniadaniowej siadać w swojej czytelni i wdychać zapach zgromadzonej kolekcji. Tuż przed nim, na kryształowej ławie – równo w rządku – leżały poukładane złote sztuce do owoców i warzyw. Były drobne, podobnie jak jego dłonie. Obok nich stała wielka, mosiężna patera z obfitością różnorodnych, wyszukanych owoców oraz stary złożony kielich z wrytym herbem jego przodków, wypolerowany specjalnym detergentem. Nalał sobie koniaku z dobrego rocznika. Zakręcił kielichem i powąchał. Delikatnie położył głowę na zagłówku

fotela. Zamknął oczy. Ciągłe pamiętał uśmiech Zośki – jego pierwszej młodzieńczej miłości. Nadal uważał, że wbrew powszechnej opinii wcale nie była głupia. To było z początkiem lat sześćdziesiątych. Spotykali się z Zoską tylko wtedy, kiedy przyjeżdżał do Polski. Był już pełnoletni, a od śmierci wujaszka Edmunda minęło sporo czasu. Spędzili razem naprawdę cudowne chwile, których starał się nie pamiętać, uciekając w inne zajęcia – jak czytanie na przykład. A teraz, kiedy zapoznał się z wiadomością od swojego adwokata, to wszystkie wspomnienia wróciły jakby ze zdwojoną mocą. Kiedy miał niecałe dziewięć lat, ojciec woził go do stryjka niemal dwa razy do roku. Zawsze w maju i grudniu. Uwielbiał spędzać wakacje w Kalinie. Z tym że jednego roku coś się wydarzyło, coś zobaczył. To coś skutecznie podzieliło go z wujaszkiem. Wraz z każdym rokiem ograniczał swoje przyjazdy. Nigdy nie zdradził ojcu prawdziwego powodu. Poinformował go tylko, że woli zdobywać wiedzę, kształcić się tutaj, w Dreźnie. Za dużo niechcianych wspomnień... Jeszcze teraz jeżyły mu się włoski na przedramieniu.

Stryj Edi, bo tak go w zdrobnieniu nazywał Bernard, był jego ojcem chrzestnym. I tak samo jak teraz on, był starym kawalerem. Wybrał życie w samotności i w samotności umarł. Jego ciało znalazł pod koniec roku tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego przypadkowy przechodzień. Bernard nie pojechał na pogrzeb – bał się, wahał. Sam nie umiał określić czego się lęka. Teraz, z perspektywy czasu, trochę żałował. Okazał się niedojrzały w swoich osądach. Ostatnie pożegnanie każdemu się należy, więc powinien pragnąć ująć wujaszka za lodowatą rękę. Był młody, to go tłumaczyło. Edmund nie posiadał własnego

potomstwa, swoją posiadłość we wsi Kalina zapisał właśnie Bernardowi. Czy Bernarda to satysfakcjonowało? Nie potrafił ocenić. Dosyć miał swoich pieniędzy, natomiast mało czasu na wojaże. Raz tam pojechał obejrzeć majątek, powspominać. Właśnie wtedy poznał Zośkę, rumianą i pulchną sąsiadeczkę wujaszka. Jak on ją pokochał! Do dziś czuł w sercu gorący płomień. Mieli romans, który nie trwał zbyt długo. Ojciec Bernarda, a brat wujka Edmunda, ciężko zachorował i musiał wrócić do Drezna. Zośka nie czekała... Pisała w listach, że czeka, ale – jak się okazało pół roku później – kłamała!

Kiedy Bernard kolejny raz odwiedził Polskę i przyjechał pod jej dom z bukietem kwiatów, zobaczył ją, w białej sukience. Wielkie było rozczarowanie Bernarda. Od tego momentu nie chciał już odwiedzać polskich ziem. Kolejny raz czuł się oszukany. Dlatego majątek w Kalinie od lat stanowił pustostan. Gdyby Zośka nie wybrała innego, kto wie? Może razem by w tym domu zamieszkali? W końcu dzielił ich niewielki las – mogliby połączyć swoje majątki ziemskie i wieść szczęśliwe życie.

Pogodził się ze stratą, wybrał żywot podobny do żywota swojego wujaszka i nigdy z żadną kobietą się nie związał. Po dziś dzień zakochany był w rumianej Zośce, po same uszy!

Do teraz!

Bo właśnie los odkrył przed nim kolejne karty. To dlatego, mimo wczesnej godziny, postanowił uraczyć się dobrym trunkiem. Chciał się znieczulić. Musiał sobie to wszystko poukładać w głowie. Ciągle pamiętał długie do pasa warkocze Zośki, zakończone białymi wstążkami. I jej kobiecą figurę,

lubieżnie wydeptę usta, zadarty, pokryty piegami nos, zaróżowione policzki i czarne jak smoła oczy. Oj, te oczy czarownicy. Parsknął. Zamoczył usta w koniaku i odstawił kielich na ławę. Raz jeszcze otworzył mejla od swojego adwokata. Czytał z uwagą, lecz cały czas nie dowierzał.

Ma wnuka. On i Zosia (która już nie żyła – kilka dni wcześniej zginęła w wypadku drogowym) mieli córkę, a teraz dowiaduje się, że ma wnuka. Miał ochotę skakać ze szczęścia, ale jednocześnie emocje wbiły go w fotel. Musiał przerobić w sobie tę wiadomość. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Zośka pozwoliła na to, żeby ich córkę wychowywał obcy mężczyzna. Tłumaczył ją tylko wstyd... Gdy on wyjechał do Drezna, ona została, nosząc już dziecko pod sercem. Jak mogła zwątpić w jego miłość.

Pomyślał niechętnie, że tak czy siak będzie musiał wrócić do Polski, odwiedzić stare śmieci. Odnaleźć wnuka, ponoć którego matka oddała do domu dziecka. Chciał z nim porozmawiać, przytulić. Być może zapisze mu cały swój majątek, nie tylko ten w Kalinie. Brał pod uwagę wiele opcji, rozmyślał nad tym, by osobiście znaleźć kupca i spieniężyć odziedziczoną w spadku posiadłość. Jeszcze nie wiedział, co postanowi. Jednego był pewien: pragnął uporządkować swoje sprawy. Wierzył, że los jest nieprzewidywalny. Bał się śmierci. Gdyby Zośka Sommer, która cały czas mieszkała w Polsce, nie zginęła w wypadku samochodowym, zapewne nie dowiedziałyby się o tym, że ma wnuka. Wnuka, którego imię na ten moment było mu nieznanie. „A córka?” – pomyślał. Zosia przed czterdziestu laty urodziła mu córkę. Co z nią? Jak sobie radzi? Czy jeszcze żyje? Zastanawiał się, dlaczego adwokat o niej nie wspomniał. Zapragnął poznać

wszystkie szczegóły: Czy jest szczęśliwa? Dlaczego nie chciała wychowywać syna? I jak w ogóle ma na imię?

– Mam wnuka. – Nie przestawał wypowiadać tych słów aż do momentu, gdy serce za bardzo przyspieszyło i zaczął się bać o swoje zdrowie.

Znowu w marzeniach przeniósł się do lat sześćdziesiątych. Do Polski wrócił zaraz po pogrzebie ojca, któremu nie udało się odzyskać zdrowia. I tak jak zobaczył stojącą przed swoim domem Zośkę – w sukni ślubnej i w welonie – tak uciekł, i już nigdy do Polski nie wrócił.

Na jego twarzy ponownie wyrysowała się pogarda. To ona pierwsza wzgardziła nim.

Teraz wszystko się zmieniło. Uradowany, że tylko zamoczył język w bursztynowym trunku, wstał z fotela i zaczął pakować walizki. W miłądy czasie zadzwonił na lotnisko i zarezerwował bilet lotniczy do Polski. Nieprzerwanie myślał o Zosi, ale jeszcze intensywniej o wnuku. Zastanawiał się do kogo jest podobny: bardziej do babci czy bardziej do dziadka? Spakował białe koszule, czarny prochowiec na wypadek deszczu.

Marzył, by w wnuku zobaczyć Zośkę. Planował też odwiedzić posiadłość w Kalinie. Musiał ją obejrzeć, oszacować koszty remontu, zapoznać się z terenem, wycenić dobytek. Miał świadomość, że będzie mu ciężko, że przekroczenie progu tego domu, a nawet przejście obok furtki, nie będzie takie proste. W końcu mieszkało tam zło. A wujaszek tym złem się opiekował.

Nie wiedział, co poczuje, kiedy tylko przekroczy próg tego domu, i jakie będą tego konsekwencje. Jedno było pewne, on leci samolotem, a jego szofer Wilhelm musi pofatygować

się limuzyną. On sam nie zniósłby tak długiej podróży samochodem. Szofer miał wyjechać natychmiast i oczekiwać go na lotnisku w Poznaniu, stamtąd odwiezie go do Gniezna.

– Wilhelm! – krzyknął.

Po krótkiej chwili usłyszał jego ciężkie kroki.